



Domingo

w Poznaniu,

czyli połowa sukcesu

Maciej Łukasz
Gołębiowski

Kanonizacja Jana Pawła II była okazją do przeżyć nie tylko duchowych, ale także artystycznych. Szczególną inicjatywą wykazał się Poznań, którego władze, przy współpracy Narodowego Centrum Kultury i prywatnych sponsorów, postanowiły zorganizować koncert jednego z trzech najświetniejszych tenorów świata.

„Tu zaczęła się Polska” – pod tym hasłem w piątej hali Międzynarodowych Targów Poznańskich 27 kwietnia wystąpił Plácido Domingo.

Dla hiszpańskiego śpiewaka Jan Paweł II to postać ważna i bliska. Spotykali się trzy razy na różnych etapach życia. Wielokrotnie – w Watykanie, w Nowym Jorku, w Anconie – Domingo miał też okazję śpiewać dla polskiego papieża. Gdy dowiedział się, że Karol Wojtyła jest również poetą, zapragnął umuzycznić jego twórczość. Zadanie wykonało kilku kompozytorów, w tym syn śpiewaka – wokalista i kompozytor – Plácido Domingo junior, także zaproszony do udziału w poznańskim koncercie.

27 kwietnia ogromna hala MTP wypełniła się publicznością, choć bilety nie należały do

najtańszych. Okoliczność sprzyjała podniosłej atmosferze i tym trudniej recenzentowi pisać o wydarzeniu krytycznie. Rzetelność zawodowa wymaga jednak merytorycznej oceny, która w przypadku pierwszej części koncertu nie może być pozytywna.

Doceniając wartość wybranych fragmentów poezji Jana Pawła II, trzeba zauważyć, że nie doczekała się ona godnego umuzykalnienia. Schematyczność i quasi-filmowy charakter orkiestracji sprawiły, że poszczególne kompozycje miały podobne, w dłuższej perspektywie nużące brzmienie, a potencjał symfonicznej orkiestry nie został w nich ani trochę wykorzystany. Od początku niedomagało nagłośnienie słabej akustycznie hali, w której stworzenie wnętrza muzycznego okazało się ponad siły realizatorów. Absurdalnym błędem było umieszczenie dyrygenta, Eugene'a Kohna, kilka metrów za solistami – obok obu panów Domingo tego wieczoru wystąpiły także sopranistki – Angel Joy Blue i Micaëla Oeste oraz Justyna Steczkowska. Brak naturalnego, wzrokowego kontaktu śpiewaków z dyrygującym orkiestrą prowadził w najlepszym razie do odwracania się bokiem do widowni, a w najgorszym do omijania zapisanych

w partyturze wejść. Dezorientacja widoczna była na twarzach artystów, ciągle pokazywanych na ogromnych telebimach ustawionych po obu stronach sceny. Biorąc to pod uwagę, trudno oceniać artystyczną jakość wykonania. Pierwsza część koncertu była dość przykrym obrazem zmagania artystów z materią dla nich wyraźnie nową oraz trudnościami napotkanymi na estradzie.

Po przerwie było już o wiele lepiej. Dyrygent pozostał wprawdzie schowany za solistami, jednak wybrane arie i sceny z oper Mascagniego, Giordana, Verdiego i Pucciniego były śpiewakom dużo lepiej znane, przez co radzili sobie z nimi bez pomocnej batuty Kohna. W pełnej krasie mógł tu w końcu zabrzmieć sam Domingo. Śpiewak dysponuje wciąż pełnym głębi i mocy głosem, który – choć niekiedy mocniej niż kiedyś rozwibrowany – daje dużo satysfakcji ze słuchania. Warto też podkreślić aktorskie umiejętności słynnego tenora, który nawet w koncertowym przecież wykonaniu operowych scen, umiejętnie i skutecznie wprowadzał gestem i mimiką więcej, niż niejeden śpiewak robi na operowej scenie, w kostiumie i makijażu.

Dokończenie na str. 2

Domingo

Dokończenie ze str. 1

Partnerujące gwiazdki młode śpiewaczki zaprezentowały się na scenie jak ogień i woda. Czarnoskóra Angel Joy Blue zjednała sobie publiczność szerokim uśmiechem, ogromnym temperamentem i równie potężnym głosem, który wciąż jeszcze uczy się w pełni kontrolować. Micaëla Oeste pokazała się jako postać zdystansowana, by nie powiedzieć: chłodna, o głosie dźwięcznym, ale niezbyt soczystym i plastycznym. Największe wrażenie zrobiła jako Violetta w dwóch fragmentach z „Traviaty” – ta



partia wyraźnie jest jej bliska i dobrze ją opanowała. Justyna Steczkowska, odziana w powłóczystrą krwistoczerwoną suknię, wyróżniała się na scenie głównie ubiorem i usiłą chęcią pozostania blisko mikrofonu, gdy tylko nadarzała się okazja. Obecność polskiej wokalistki można jeszcze zrozumieć w śpiewanej wspólnie z Domingo pieśni „Abba Ojczy”, ale jej irytujące wokalizy trudno już wytłumaczyć w każdym innym utworze, w którym się pojawiała.

Dobre wrażenie zrobił natomiast syn Placido Domingo. Naturalny, dźwięczny baryton, śpiewający bez operowej manier, z dużą muzykalnością i skromnością pokazał, jak można być synem słynnego ojca, pozostając przy tym sobą.

Koncert zakończył się spodziewaną owacją na stojąco i wieloma bisami, które po wrażeniach drugiej części należy uznać za pożądane. Żal jednak, że wartością wieczoru były jedynie utwory z poprzednich epok i do tego niezwiązane w żaden sposób z okazją i myślą przewodnią wydarzenia. Poezja Jana Pawła II musi jeszcze poczekać na swego kompozytora.



Omer Klein To the Unknown

Plus Loin Music 2013

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●●

Trio jazzowe gra melodyjną muzykę – tak najkrócej można scharakteryzować zawartość albumu „To the Unknown”.

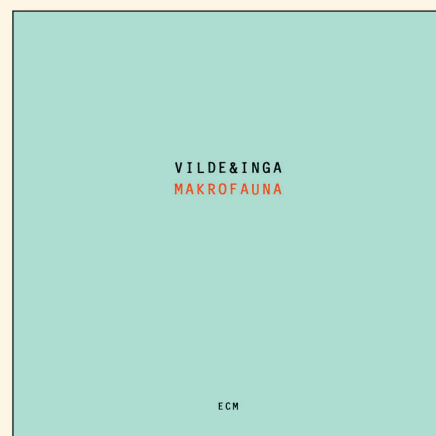
Jego twórca, Omer Klein, pochodzi z Izraela, studiował w USA (razem z Danilo Perezem i pod okiem Freda Herscha), a ostatnio mieszka w Niemczech, skąd często wyrusza w trasy po Europie, a czasami dalej.

Trio, którego Klein jest liderem, brzmi trochę jak – również trzyosobowa – formacja Jacques'a Loussiera. Tyle że ten ostatni skupia się na odtwarzaniu klasycznych tematów na jazzowo, a Klein wszystkie utwory na omawianej płycie napisał sam.

Choć wymagają od wykonawców znakomitej techniki, brzmią melodyjnie i przystępnie, nawet dla osób słuchających na co dzień wyłącznie muzyki rozrywkowej. Fortepian lidera dominuje, ale Klein pozwala też rozwinąć skrzydła dwóm pozostałym muzykom. Utwór „Resistance” należy do basisty, którym jest Haggai Cohen-Milo, natomiast w „Mr. Dream” aktywnie udziela się perkusista, Ziv Ravitz.

Właściwie w każdej kompozycji dzieje się coś ciekawego. Raz mamy płynącą delikatnie uroczą melodię, to znów świetne pomysły rytmiczne lub fascynujące harmonie. Niby jazz, ale taki dla wszystkich, choć równocześnie wyrafinowany, daleki od uproszczonej odmiany tego stylu, oznaczanej niekiedy przymiotnikiem „smooth”. ■

Grzegorz Walenda



Vilde & Inga Makrofauna

ECM 2014

Muzyka: ●●○○○

Realizacja: ●●●●●

Trudno ocenić zawartość tego albumu, bowiem nie da się tego zrobić w kategoriach czysto muzycznych. Dwie młode Norweżki – skrzypaczka Vilde Sandve Alnas i kontrabasistka Inga Margrete Aas – zamiast skupić się na melodiach i harmonii, poszły w kierunku wydobywania rozmaitych pozamuzycznych dźwięków z instrumentów, na których zapewne grać doskonale umiemy, chociaż akurat na tej płycie nie miały okazji tego pokazać. Częściej bowiem niż muzykę słychać tu różnego rodzaju stuki, warkoty oraz inne dźwięki, które prawdopodobnie każdy mógłby wydobyć, jeśli tylko miałby do dyspozycji kontrabas, skrzypce i smyczki. Typowo pojmowanej muzyki tu jak na lekarstwo. Oczywiście, jeśli kogoś nie zrazi nadmiar akustycznych eksperymentów i poświęci nagraniem więcej czasu, dosłucha się w końcu muzycznych klimatów. Są one niewątpliwie obecne, choć trzeba się skoncentrować i mieć odpowiedni nastrój, aby je docenić. Artystki malują dźwiękami obraz natury. A ta ostatnia nie zawsze jest tak melodyjna jak typowy dźwięk skrzypiec i nie zawsze uderza miarowo jak nisko schodzący bas. Czasami w otaczającej nas rzeczywistości słychać grzmoty, rumor i warkot silnika; rytmiczne bicie serca także może ulec zaburzeniu.

Muzyka, a raczej dźwięki, dla tolerancyjnych słuchaczy, którzy potrzebują odmiany. ■

Grzegorz Walenda